

## **Krzysztof Wołodźko: Między utopią anarchokapitalizmu, a dystopią realnego liberalizmu**

W jakiejś mierze polski liberalizm to ideologia i nastawienie mentalne panów w średnim już wieku, którzy nie wyrosli z marzeń o Dzikim Zachodzie i jeszcze bardziej dzikim kapitalizmie - pisze w najnowszym numerze „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kisiel: blaski i cienie polskiego liberalizmu.

Wydaje się oczywiste, że odpowiedzią na dekady hipertrofii państwa, na każdym z możliwych poziomów życia społecznego, stał się w początkach III Rzeczypospolitej gospodarczy liberalizm. Rzec nie tylko w prądach myślowych i bardzo silnych anglosaskich modelach gospodarczych płynących w latach 80. XX w. do Polski. Nastroje społeczne czasu przeobrażeń ujawniały głęboką dychotomię, która budziła silne napięcia: w miastach pojawiła się wielka fala drobniutkiej przedsiębiorczości, często żyjąca np. z nieuregulowanych praw autorskich, a także nowa grupa właścicieli prywatyzowanego majątku publicznego, nierzadko kompletnie po omacku robiących wielkie interesy. To ściśle wiązało się z masowymi zwolnieniami, szybkim upadkiem całych rejonów rolniczo-przetwórczych, bulwersującymi lokalne społeczności przejęciami majątku publicznego przez prywatnych właścicieli. Na mapie Polski pojawiły się terytoria strukturalnej biedy, które długo takimi jeszcze pozostaną, ponieważ

żywiolowość przekształceń wykluczała jakąkolwiek sensowną politykę osłonową, a skutki głębokich przeobrażeń liczy się co najmniej w dekadach.

Dla nastolatka był to również pierwszy duży dysonans poznawczy: z wczesnych lat 90. pamiętam artykuł z „Gazety Wyborczej” o nowej warstewce społecznej. Nazywano ich japiszonami (yuppies). Mieszkali w stolicy, z nadzieją patrzyli w przyszłość, budowali kapitalizm, źle mówili o ludziach roszczeniowych i niezaradnych. Kilkunastoletni, czytałem ten tekst o młodziutkich wilczkach kapitalizmu (którzy śniadania popijają sokiem ze świeżo wyciskanych pomarańczy i operują na wielkich sumach), w świecie właśnie rozpadającego się PGR-u, gdzie ludzie wówczas czterdziestoletni pozostawali bez stałej pracy, jak się miało okazać na długo, a całą ich rzeczywistość właśnie wyrzucano do kosza na śmieci. Traktorzysta z PGR nie mógł zostać młodym wilczkiem kapitalizmu – na mocy silnych, nieledwie ontologicznych determinantów, czterdziestolatek po szkole zawodowej, od osiemnastego roku życia zatrudniony w gospodarstwie rolnym, z dwójką czy trójką dzieci na utrzymaniu, nie mógł zamienić się w dwudziestokilkulatka, który usieciowił się w kręgu odpowiednich znajomości w czasie stołecznych studiów, a później, owszem, również dzięki swoimi zdolnościami, po części przecież nabytym dzięki korzystnym warunkom zewnętrznym, korzystał z ofert zagranicznych i polskich firm, szukających na nowym rynku ludzi, których do lepszego życia namaściła także łaska późnego narodzenia.

Później sprawy potoczyły się tak, że były chłoporobotnik zaczął głosować na postkomunistów, którzy w latach 90. XX bardzo sprawnie grali na frustracjach grup społecznych i zawodowych, jakim transformacja zaoferowała stosunkowo niewiele, a młody wilczek

kapitalizmu zasilał elektorat tych i owych prawicowych partii, wciąż czekając, aż któraś zrealizuje idealny liberalizm. Niewykluczone zresztą, że jeden i drugi przez lata co niedziela chodzili na Mszę Świętą, jeden w parafialnym kościółku pośród łąk umajonych i pól przejętych przez nowobogackiego latyfundystę, a drugi w wielkomiejskich kościołach, w których powoli formował się ruch katolickich przedsiębiorców, często wiernych zarówno Tradycji, jak i wolnemu rynkowi.

Lubimy myśleć o szczękach i łózkach polowych na polskich ulicach jako wspaniałym objawieniu ducha rodzimej przedsiębiorczości, nieledwie duszy ze swej natury liberalnej, ale tego typu procesy w dużym stopniu determinowała makroekonomia polityczna pierwszych lat transformacji. Na masach wymuszono tego rodzaju nowe formy aktywności. I chyba nikt z osób bardziej rzeczy świadomych się nie łudził, że tego typu drobnicowa gospodarka, z mięsem sprzedawanym z ulicy i pirackim rynkiem porno i muzyki przetrwa na stałe. Umówmy się, to musiało wygasnąć, ponieważ ustabilizowany zachodni biznes i rodzące się prywatne rodzime fortuny grały wedle zupełnie innych zasad.

Właśnie wtedy należało w Polsce czytać Karola Marksa, przynajmniej na poziomie analizy socjologicznej: sklepy wielkopowierzchniowe, które od zawsze upośledzały producentów i wyciskały od nich towar po najniższej cenie z pomocą mnóstwa prawnego-marketingowych sztuczek, koncentracja kapitału w rękach dużych i bardzo dużych podmiotów gospodarczych, stopniowe przejmowanie „przedsiębiorczej drobnicy” przez biznes, wreszcie inauguracja giełdy, formowanie się nowej legislacji, pojawienie się na polskiej scenie wielu zupełnie nowych dużych aktorów życia gospodarczego: od deweloperów przez zachodnie

instytucje finansowe po szeroko rozumiany biznes informatyczny, a u zamknięcia epoki drobnicowej perspektywa wejścia do Unii Europejskiej, ważna i dla biznesu, i dla instytucji – tego typu architektura rynkowo-instytucjonalna kompletnie nie pasuje do sprymitywizowanych wizji anarchokapitalistycznych, na których właściwie opiera się u nas to, co nazywamy lumpenliberalizmem.

W jakiejś mierze polski liberalizm to ideologia i nastawienie mentalne panów w średnim już wieku, którzy nie wyrosli z marzeń o Dzikim Zachodzie i jeszcze bardziej dzikim kapitalizmie. Myślę, że ich wyobrażeniowa matryca społeczno-gospodarcza odnosi się do przełomu lat 80. i 90. XX wieku – tylko koncepcyjnie podniesiona jest do kwadratu czy może nawet sześcianu. Radość niszczenia jest dla nich radością tworzenia – niestety, nie tylko polska klasa polityczna ma znaczne problemy ze zrozumieniem, że nie ma dobrej nowoczesności bez przyswojenia sobie w teorii i praktyce weberowskich reguł etatyzmu i biurokracji. To również problem nadającej ton w rodzimej debacie publicznej warstewki publicystycznej. Pogarda i niechęć dla instytucji, przyzwolenie czy wręcz judzenie do programowego ekonomicznego upośledzania szczególnie szeregowych pracowników całego mnóstwa instytucji tworzących korodującą architekturę naszego państwa, a równocześnie żerowanie na publicznych środkach gdy jest po temu okazja – to jest polski liberalizm w jego praktycznych zastosowaniach, również tych przekazywanych na piśmie.

A jest też tak, że im gorsza edukacja publiczna, tym łatwiej szerzyć wśród młodszych pokoleń wizje ładu społeczno-gospodarczego, w których rynkowo-kapitałowy porządek III RP determinowany jest na gruncie praktyk i wyobrażeń społecznych przez miks utopii anarchokapitalizmu i dystopii realnego liberalizmu.

Jest rzeczą znamioną, że w Polsce rzadko kto zna i odwołuje się w debacie publicznej do niemieckich tradycji ordoliberalizmu – to intelektualnie przerasta reprezentantów nurtu xero-anglosaskiego myślenia o rzeczywistości. Być może transformacja miałaby nieco inny, bezpieczniejszy dla sporej części społeczeństwa przebieg, gdyby prominentni i opiniotwórczy liberałowie naszej epoki namiętnie czytali Wilhelma Röpke i Waltera Euckena. Ale to wariacje na temat historii alternatywnej, która nie mogła się wydarzyć również dlatego, że nasz model transformacji od nakazowo-rozdzielczej do rynkowej gospodarki nie był akademickim seminarium, próbą odwzorowania „platońskiej idei” rynku pod hiperborejskim niebem, ale po części wynikał z geopolitycznej gry sił, a po części zależał od lokalnej staro-nowej elity z wszystkimi jej talentami, przywarami i niemożnościami.

Jednym z zabawniejszych błędów teoriopoznawczych naszych liberałów jest podnoszony przez nich argument, że nie ma u nas prawdziwego kapitalizmu, ponieważ, np. „w USA za Reagana wyglądała to zupełnie inaczej”. Mówią to ludzie, którzy nierzadko z pełnym przekonaniem uznają się za konserwatystów. Ale cóż to za konserwatyzm, który nie wie, że rzeczywistość zastana jest potężną siłą modelującą, odkształcającą oddziałujące na nią narzędzia? Jednym zdaniem: anglosaski kapitalizm lat 80. XX wieku, poprzez wyobrażenia i pieniądze transformujący lokalną realność, został zaadoptowany do jej głębokich tutejszych uwarunkowań historycznych, kulturowych, obyczajowych, mentalnych, nawyków instytucjonalnych i relacji międzyludzkich. Narody to realność dziejowa co prawda trudna do jednoznacznego zdefiniowania, ale możliwa do uchwycenia nie tylko intuicją. Czasem objawia się jako swoisty opór społecznej materii: kilka dekad wcześniej nie udało się komunistom pełna kolektywizacja rolnictwa. A dziś z

kolei nie wszystkie polskie umysły dają się skolonializować lumpenliberałom. Te dwie dobre wieści to mimo wszystko niezły prognostyk na przyszłość, pośród wielu ponurych danych.

Choć w lata 90. XX wieku znaczna część lokalnych elit wkraczała z bardzo silnym przekonaniem, że konieczne jest radykalne zerwanie z nakazowo-rozdzielczą teorią i praktyką Polski Ludowej (rozumieli to również ludzie z młodego PPS, tworzonego przez Piotra Ikonowicza, Cezarego Miżejewskiego, Grzegorza Ilkę), o tyle do dziś bardzo często pada i cieszy się szacunkiem argument, że w „III Rzeczpospolitej nie ma liberalizmu/kapitalizmu”. Słyszymy takie opinie pomimo tego, że dawno już musimy uważać na wszelkie drgania wielu światowych giełd. Słyszymy je pomimo tego, że procesy prywatyzacyjne i stanowiące ich odmianę przekształcenia reprivatyzacyjne zachodzą bardzo daleko (casus Warszawy najlepszym tego przykładem!), a reprezentanci instytucji państwa chętniej spełniają życzenia reprezentantów prywatnych podmiotów rynkowych, niżli służą dobru publicznemu. Słyszymy takie opinie, traktowane bardzo serio, pomimo tego, że rozmontowanie i wycofywanie się państwa usług publicznych zaszło już bardzo daleko, pomimo tego, że nieczytelne procedury i odpowiednio sprofilowane kryteria dochodowe stanowią formę jak sądzę bardzo świadomego utrudniania obywatelom III RP korzystania z usług publicznych i świadczeń socjalnych. Słyszymy takie opinie, pomimo tego, że wspólnymi siłami postkomunistów i postsolidarnościowych elit dokonano prywatyzacji emerytur, która – choć częściowo wycofana ze względu na swoje fatalne skutki dla budżetu – powoli prowadzi do katastrofy społecznej na miarę krachu systemu emerytalnego w Chile.

Słyszymy takie opinie, pomimo tego, że nastąpiło przez lata znaczne pogorszenie warunków dla szerokiej rzeszy ludzi zasilających świat pracy najemnej. Słyszymy takie opinie pomimo tego, że mamy do czynienia z przemożnym udziałem w polskiej rzeczywistości różnorodnych form kredytu i lichwy, i różnorakimi formami bezradności państwa wobec uchylania się obywateli i podmiotów międzynarodowych od płacenia danin publicznych. Sądzę, że będziemy je słyszeć jeszcze długo, ponieważ dla naszych arcyliberałów sam fakt, że państwo spełnia jakiegokolwiek funkcje, może poza okołopolitycznymi, stanowi lumpen-argument za tym, iż „nie ma liberalizmu”. To myślenie doktrynerów, które z racji swojego prostego przekazu, jest dość przekonujące.

Tego typu obrazowanie rzeczywistości stanowi znakomitą wymówkę dla klasy politycznej: słabe państwo, wedle znaczenia jakie nadał temu terminowi dr hab. Artur Wołek, potrzebuje lumpenliberalizmu jako swojej legitymizacji – inaczej okazałoby się, że jest skandalem.